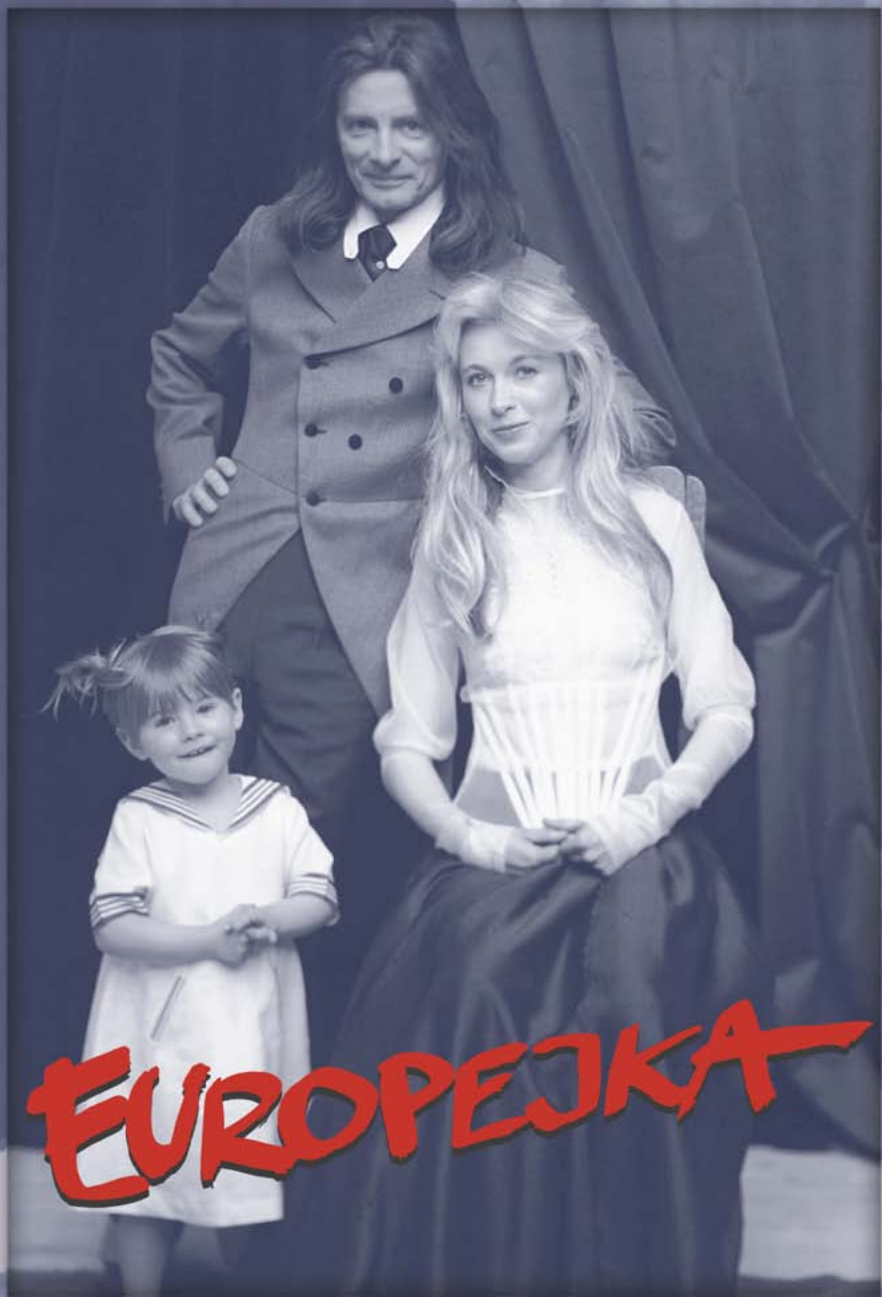


MANUELA GRETKOWSKA



EUROPEJKA

MANUELA GRETKOWSKA

EUROPEJKA

Od lat czytam o sobie „skandalistka”. Taaa. Pierwsza moja prowokacja zaczyna się już o świcie. Wstawanie z łóżka przypomina przecież aborcję. Jakaś siła wyższa wyskrobuje mnie z ciepłej, przytulnej macicy pościeli. Jednak nikt poza mną nie widzi po tym zabiegu krwistych smug na zimnej posadzce ciągnących się do łazienki, gdzie szybko się myję, walcząc z dwuletnią córeczką o mydło. Śniadanie, przewijanie, zabawa. Wszystko pod dyktando zegara terkoczącego z zawziętością maszyny do szycia. Zamiast igieł ostre wskazówki zszywają przeszłość z przyszłością, zostawiając mi przyciasne teraz: spacer, karmienie, czytanie ukradkiem. Od 13.00 do 15.00 Pola poddana jest narkozie drzemki, co pozwala mnie i Piotrowi na błyskawiczną operację pisania, gotowania obiadu. Po przebudzeniu dziecka znowu bycie mamą na zmianę z tatą. O ósmej kładziemy małą spać. Jej oddech przez sen to

nieme słowa modlitwy, ufne i żarliwe. W ekstazie tuli misia zupełnie jak święta Tereska od Dzieciątka Jezus krzyż do piersi.

Boże, ja tak dbam o normalność, układność siebie i rzeczy. Żeby w domu było posprzątane. Co z tego, idę do sąsiadki, u niej parkiet zmywany raz na tydzień lśni jak wbite w podłogę zęby Hollywoodu. A u mnie codziennie syf. Kupiłam nawet jednorazówki do szyb i ścieram ślady rączek dziecka. Trąc i pucując, śmieję się po kryjomu sama z siebie, że przypomina to zacieranie śladów zbrodni.

Na wyszorowanym wierzchu powaga, w środku mnie szyderstwo. Ale trzymam się tych szczotek, ściereczek i robię za normalną, porządną. Bo wiem, jak łatwo się osunąć w entropię i ekstrawagancję. Kilka lat temu, gdy mieszkałam sama, postanowiłam ograniczyć do minimum ogłupiające sprzątanie. Oprócz szklanki wyrzuciłam wszystkie naczynia (ciągle pełny zlew), wyniosłam stół (za duża powierzchnia do bałaganienia) i zamiast tego sprawiłam sobie tacę. Z niej jadłam, na niej pisałam. Przyjaciółkę zemdliło nad tą tacą, gdy podałam jej ziemniaki. Odkryła pod nimi warstwy poprzednich obiadów. Wtedy zrozumiałam, że trzeba się trzymać poręczy normalności. Prosta sukienka, skromny makijaż. Zwyczajność, jej codzienna zwyklyzna jest dla mnie jedynym azylem. Już z niego nie wychodzę.

Zapraszają nas całą rodziną do Krakowa na festiwal kabaretów. Przed wyjazdem uzgadniamy z „Vivą” szczegóły sesji zdjęciowej po powrocie. Będzie trwać

od śniadania do kolacji. Są na tyle mili, że pytają, co jemy.

- Wszystko.
- Aha – notuje stylistka.
- Ale bez wędliny.
- Znaczy sery?
- Tak, ale kozie.
- No, niby wszystko... A jajka jecie?
- Kozie.
- Aha – notuje.

Stylistka, pośrednik między tym, co jest, a co być powinno, niczemu się nie dziwi, przynajmniej przez chwilę.

- Zaraz, pani żartuje – wraca do rozsądku.
- I kawior à la Stendhal – dopowiada Piotr.
- ?
- Czerwony i czarny.

Romantyk, i tak dostaniemy żarcie stołówkowe z cateringu „Stracone złudzenia”.

W wieczornym programie wywiad z Bogusiem Lindą. Zatrzymałam obraz. Niepolska twarz, na której jest polskie nieszczęście. Oczy dużo młodsze, jakby wyjęte i wprawione drugi raz po skończonym nałogu albo marzeniach. Gdyby był Amerykaninem, częściej by się uśmiechał, przebywałby z mniej znerwicowanymi ludźmi, co odcisnęłoby mu się pod oczyma, na policzkach jak poduszka po śnie.

Zasuвам wieczorem zasłony – koniec spektaklu dnia. Potrącam zawieszony na okiennej ramie budziki dzwoneczek z błogosławieństwem. Odgradzanie się nie od sąsiadów, od ciemności.

Dowiedziałam się przed chwilą, że mam zakaz występowania w I programie publicznej telewizji. Poszło o dyskusję w „Pegazie”. Program nie był na żywo i pewnie został pocięty, więc nie wiem nawet, co takiego powiedziałam, nie oglądam audycji z sobą.

Rozmawiałam z prowadzącą – Kazią Szczuką – o *Scenach z życia pozamałżeńskiego*, mojej i Piotra najnowszej książce. Szczuka próbowała mi wmówić, że to romansidło, bo o miłości. Zupełnie jak *Pianistka*, co? Skoro bohaterem jest również facet, książka musi być antykobieca. Nie zauważyła w *Scenach* dość gorzkiego opisu dojrzałych mężczyzn.

Chyba się posprzeczałyśmy. Mam dość narzekania na *Sceny z życia bez prawdziwych argumentów*. Najlepszy jest zarzut, że dobrze się czyta, więc to grafomania. Czy książka jest fałszywa, źle napisana? Nic z tych rzeczy. Porządnych oburza – za dużo w niej seksu, łajdaków obraża, bo nie zostawia na nich suchej nitki. Ale nikt tego głośno nie powie. Kazia po zgaszeniu kamer też zmienia ton, podaje mi rękę i mówi, że *Sceny* się jej podobały, przeczytała jednym tchem. Przyzwyczaiłam się do publicznej hipokryzji. Już nawet nie pytam, dlaczego w takim razie je przed chwilą uparcie krytykowała. Gdyby nie udawała poprawności,

mogłybyśmy wtedy o czymś sensownym porozmawiać, zamiast się nawzajem obrażać.

To była zwykła dyskusja o pisarstwie. Może niezbyt fortunna, ale z tego powodu mam szlaban na pojawianie się w telewizji? Odwołano moje jutrzejsze wystąpienie w porannym programie. Czy ja śnię? XXI wiek i polska cenzura na pisarzy? TO KIM JA JESTEM, że się nie mieszczę w okienku i pojęciu intelektualnych kacyków?

5 IV

Mężczyzna moich marzeń kusi obsadą: Jean Reno i Binoszka (o której złośliwi mówią *bi-moche* – „podwójnie brzydka”), moja ikona kobiecości – artystka z dziećmi, z rozwodami i normalna.

Wymyślić historię romansu, rozgrywającego się na współczesnym lotnisku w arystotelesowskiej jednoczesności miejsca i czasu jest sztuką. Może to prostacki film, ale nie ma w nim pretensjonalności *Godzin*, z których wbrew tytułowi wychodzi się po godzinie. Ile można wysiedzieć na minoderyjnym filmie, gdzie prawdziwe problemy zastępuje się grozą egzystencjalną braku problemów? I wszystko w polewie wielkiej Wirginii Woolf. Zatyłowałabym to paskudztwo *Kto się boi Wirginii Woolf II*.

Jean Reno w *Mężczyźnie...* podobny do Kartezjusza dogorywającego na dworze królowej Krystyny. Gdyby zagrał filozofa w jakiejś historycznej produkcji, byłby niezły film, pod warunkiem, że Krystynę grałaby

też biseksualna, ambitna Madonna, królowa masowej wyobraźni.

Znowu telefon. Czy nie można przerobić tych drażniących dzwonek Pawłowa na coś spokojniejszego, donośne bicie serca? Dzwonią z gazety zapytać, czy to prawda ze szlabanem na telewizję. Prawda, no i co? Nie jestem gwiazdą telewizyjną, nie umrę od tego.

Czytam *Diabła na wolności* Eriki Jong, autorki tak skwapliwie polecanej przez feminizujące pisemka. Biedna Jong, w swoim czasie też dostała od femisi, „siostr” (Piotr nazywa je „siostrami niemiłosierdzia”) o mentalności przedszkolank. Bo co z nimi będzie, gdy przestaną pouczać i straszyć, a kobiety dorosną i rozbiegną się na wolność, do seksu, mężczyzn.

Próbowałam być z femisiami, serio. Pierwszy raz, gdy „Wysokie Obcasy” zainteresowały się wydrukowaniem kawałków mojej *Polki*. Uznałam ich prośby za naturalne – napisałam pierwszy w Polsce dziennik ciąży. Ale ze współpracy nic nie wyszło. Nagle straciły zainteresowanie i do dziś nie wiem dlaczego. „Nie znamy końca książki, więc nie możemy jej naszym czytelnikom polecać” – to tłumaczenie uznałam za absurdalne. Jak niby się miała moja książka skończyć: psychozą poporodową i dzieciobójstwem? Propagatorki „rodzenia po ludzku” z „Obcasów” najwyraźniej uznały, że obsceniczna Gretkowska wywali barbarzyński numer i nie wiem co, zeżre łóżysko?

Innej ze znanych femiś pogratulowałam w spontanie znakomitej książki. Pomyślałby kto – wstęp do interesującej znajomości. Ale rozmowa zesłała na Kanta i słyszę, że on bee, jego myśl paskudnie patriarchalna, ponieważ żył w czasach dominacji mężczyzn, więc jego myślenie było skrzywione. Ciarki mnie przeszły. Klócić się nie chcę ani przytakiwać – kontakt niemożliwy wszędzie tam, gdzie zdrowy, krytyczny rozum zaślepią fanatyczna ideologia. Gardząca Kantem femisia, gdy huknął na nią szef za pisywanie do (o zgrozo!) kobiecego pisma, szybciotko go posłuchała. W końcu kazał jej pan profesor, mężczyzna, nie? Najlepszy dowód, że żyjemy w czasach ucisku kobiet.

Cóż, bycie kobietą nie jest żadną odwagą, to przymus, przed którym nie da się wybronić. Tylko dla czego polski feminizm zamienia się najczęściej w eufemizm? Bez prawdziwych słów i prawdy. Słynne siostrzane uczucia femisi w stosunku do mnie okazywały się najczęściej morderczymi instynktami. Już słyszę głos feministycznych prymusek wrzeszczących mi nad uchem: Te należą do nas, te nie i my wiemy wszystko lepiej! To sobie wiedzcie i odpierdolmy się od siebie, bo wyglądamy na zassane waginami.

6 IV

Wywiad w „Vivie”.

Nagłówek: „Ostrzeżenie! W rozmowie padają słowa niecenzuralne. Z powodu użycia ich przez naszą bohaterkę w «Pegazie» wymieniono ekipę programu.

Czy musiała używać wulgaryzmów, skoro telewizyjna dyskusja dotyczyła napisanych przez nią wspólnie z mężem, Piotrem Pietuchą, *Scen z życia pozamająłskiego*? Czy skandal się Manueli Gretkowskiej nie znudził?”

– Jest pani wstyd z powodu afery z „Pegazem”?
– pyta młoda dziennikarka.

– Wstyd? A dlaczego? To nie ja mam się wstydzić. „Pegaz” ogląda garstka intelektualistów, traktowana jednak przez dyrekcję Jedyńki jak smarkacze, którzy nie czytali Rotha, Millera, a słowa „pizda” szukają w słowniku wyrazów obcych. Nawiasem mówiąc, słowo „piździć” znaczyło w staropolszczyźnie „marudzić”, czyli, jak rozumiem, ociągać się w doznawaniu orgazmu, gdy partner zaznał już rozkoszy przedwczesnego wytrysku.

„Viva”: – Szokowanie brzydkimi wyrazami to według mnie wyraz infantylizmu. Dorosły człowiek nie musi używać wulgaryzmów, żeby porozmawiać o książce. Nawet jeśli jest o seksie.

– Używam takich brzydkich słów na co dzień. A pani co mówi: „kuciapka”?

„Viva”: – Mam inne, jeszcze bardziej pieśczośliwe określenia. Ale to mój słownik intymny.

– Słowo wypisane na murze może być wulgarne, ale użyte sprawnie w prozie czy w innym kontekście okazuje się bardzo przydatne. Zresztą sto lat temu podobne boje z hipokryzją toczyli pisarze anglojęzyczni, przerabiając wulgaryzmy na literaturę. „Fuckując”,

wpuszczali je na salony. W Polsce, kiedy raper nadaje przekleństwa, nikt się nie oburza. Wiadomo – zdesperowany przygłup z przedmieścia. Ale gdy miesza się do tego intelekt, to samo „pizda” zrozumieją dopiero, gdy z przodu doczepi się imperatyw, a z tyłu Heideggera. Wtedy to kapują.

„Viva”: – Ale nie odpowiedziała mi pani, czy naprawdę musiałyście w ten sposób rozmawiać w programie o książkach?

– Mówiliśmy o miłości, o romansie. Odmienialiśmy „kochać się” na różne sposoby. Gdy kobieta pisze o erotyzmie, musi być świadoma, że wpakują ją w najlepszym razie do literatury kobiecej, a w najgorszym do pornografii. (...)

„Viva”: – Afera z „Pegazem” to nie jest pani pierwszy konflikt z mediami.

– Już mnie raz przeklęła Krajowa Rada Przyzwoitek.

„Viva”: – Rozumiem, że ma pani na myśli Biuro Programowe Polskiego Radia? Dlaczego tak pani ich nazywa? Co oni pani zrobili?

– Jakiś czas temu radiowa Trójka chciała być nowoczesnym radiem i zaproponowano mi i Wojciechowi Mannowi audycję. Po jednorazowej emisji owa rada przyzwoitek zakazała nam gorszenia słuchaczy, czyli rozmów o stosunkach damsko-męskich. Zakazano nam także używania słowa „orgazm”. Nie wiem, chyba musiałabym go udawać, dusząc się oczywiście ze śmiechu.

„Viva”: – Wyrzucają panią z telewizji, z radia, z gazet. Może to pani jest konfliktowa?

– Jestem konfliktowa. Jestem w permanentnym konflikcie z głupotą.

Piotr, włączając się do rozmowy: – Wzruszająca jest taka troska „dobrej ciotki” o cnotę intelektualną widzów wyczekujących do północy, by usłyszeć wreszcie coś interesującego. A tak naprawdę to niepojęta w dzisiejszym świecie prowincjonalna cenzura biurokraty kastrującego głos artysty czy intelektualisty. Feudalny stalinizm.

„Viva”: – Bez przesady. Co za porównanie!

Piotr: – Ktoś podjął jednoosobową decyzję. Ten pan zabronił Manueli publicznie myśleć. Dostała publiczny zakaz pojawiania się w Jedynce.

– I tak zostałam „wroginią publiczną”. (...)

„Viva”: – Świetna promocja książki, ten rwetes wokół pani.

Piotr: – Od dziesięciu lat posądza się Manuellę o cyniczne manipulowanie seksem, że z seksu uczyniła promocję. Najpierw byłaś „młodziutką pisarką epatującą dupą”, a dzisiaj „cyniczną wygą epatującą dupą”. Nic się nie zmienia. (...)

„Viva”: – Sama pani o sobie mówi: „Piszę harlequiny dla intelektualistów”...

– ...i czy to nie zabawne, że krytycy, chcąc mnie poniżyć, przywołują tę etykietkę, a przecież to autoironia, kpina z ich bezradności. (...)

„Viva”: – *Sceny z życia pozamająłńskiego* traktują o niewierności. W imię czego wy jesteście ze sobą? Co to jest wierność?

Piotr: – Jest konsekwencją szczęśliwego związku. To nie jest cena, wyrzeczenie, kara. Brak pokus to

potwierdzenie i jednocześnie nagroda za dobry wybór.

– (...) Wierność daje poczucie godności, jak wychowanie dziecka. To jest trudne. Czasem ma się dość, kiedy człowiek się gubi w tych przeplakanych, nieprzespanych nocach, pieluchach. Ale warto. (...)

„Viva”: – I tak pławicie się w szczęściu i miłości, wy, drobnomieszczańscy skandaliści...

Piotr: – Nie czuję się mieszczaninem. Równie dobrze mogłaby mi pani wmówić, że jestem talibem. Nie jestem też skandalistą, gorszycielem. Raczej „lepszycielem”. A jeśli chodzi o miłość, to nie jest dana, musimy ją sobie wypracować.

– Piotr przesiąkł w Szwecji protestantyzmem i stąd tak mu się chce pracować. Ja nadal wierzę w miłosne natchnienie, które właśnie mi się spełnia.

Koniec wywiadu. W efekcie to samo co zawsze: nie puszczam się na lewo i prawo, nie sypiam z każdym, więc jestem hipokrytką, mieszczanką niewyzwoloną seksualnie i cynicznie zarabiającą na dupie. Czy ludzie zamiast mózgowych półkul mają pod czachą półdupki?

Po kąpieli Poli całuję jej ciało: słodkie łapki rozrąbki, pierożki stópek i ten ciepły lukier wanilii z rozgrzanej główki.

Tydzień od śmierci Jakuba Karpińskiego. Nie byłam na pogrzebie, nie potrafiłabym.

Jestem wrodzonym tchórzem. Na pierwszym pogrzebie, gdy miałam z osiem lat, porzygałam się od płaczu. Na drugim, już kilkunastoletnia, zemdlałam, widząc w trumnie kolegę z klasy.

Ale nie ja tu jestem ważna i moje historie. To umarł Jakub Karpiński. Spotkamy się później, w czasie odzyskanym. Kiedyś tłumaczył metodę powrotu do przeszłości współwięźniowi kryminaliście żałującemu, że zamordował frajera, za którego go zapudłowali: „Jeśli weźmiesz kij nieskończenie długi, to poruszając nim uzyskasz prędkość szybszą od światła i cofniesz czas”.

Gdyby Jakub w małościach był jak w rzeczach wielkich (podobno jedyny nie sypał w 68, w procesie taterników), zostałby świętym, a nie tylko bohaterem.

Nie znam żadnego intelektualisty tak kochającego życie. Codziennie chodził na basen, dla samej radości machania rękami i nogami, których nie odciął jeszcze rak.

Przez parę miesięcy mieszkaliśmy razem we Francji. Kiedy złamał sobie nogę, poprosił o zawiezenie go wózkiem sklepowym na Champs Elysées, gdzie wzdłuż alei wystawiano napuchnięte rzeźby Botero. Oglądał je w pozycji zakupów z wystającym kikutem nogi w gipsie. Dla przechodniów komiczny widok ekscentryka zwiedzającego w ten sposób wystawę. Dla mnie obserwowanie ze ściśniętym sercem Jakuba zafascynowanego nadmiarem niezniszczalnego ciała metalowych grubasów.